

Skowroński, Marian

Polska w opłatku : (fragment książki "W pogoni za tęczą")

Przegląd Pruszkowski nr 1, 64-71

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Marian Skowroński

Żonierz AK – obrońca Baszty w czasie Powstania Warszawskiego

POLSKA W OPŁATKU

(fragment książki «W pogoni za tęczę»)

Pewnego grudniowego wieczora rozeszła się wśród nas wieść, że w mieście pojawiły się choinki. Wtedy w naszej izbie zrodził się pomysł zorganizowania wieczery wigilijnej. Jedni dyskutowali na ten temat pełni podniecenia, zaś inni – sceptycyzmu. W konkluzji postanowiliśmy, że każdy z nas będzie na własną rękę zdobywać wszystko to, co się przyda dla urządzania wieczery.

Po kilku dniach Czesiek niby mimochodem oznajmił:

– Jakby co, to ja mam schowane piętnaście śledzi.

– Gdzie?! Gdzie?! – pytaliśmy jeden przez drugiego.

Czesiek zbył nas nieprzyzwoitym słowem i oświadczył:

– Będzie wigilia – będą śledzie, a jak nie – to nie.

Potem odezwał się Rysiek. Mianowicie burknął jakby od niechcienia:

– Przy naszej dzisiejszej robocie spotkałem Polaka cywila. Obiecał mi opłatek.

– To będzie wigilia! Hurra! – Wykrzyknął Jasio „Puszczyk” niezwykle tą wiadomością podniecony. – Ale jak tu zdobyć choinkę – dokończył smętnie

Do wykonania tego zadania potrzebuję trzech zwinnych. Teraz spać – nakazał nasz izbowy.

Zgaszono światło. Przy piecu pozostała tylko dwójka gotujących, a następnie zjadających ugotowaną zupę.

Rysiek był nie tylko naszym izbowym, ale także niekwestiono-

wanym autorytetem, zatem gdy wybrał Heńka „Smolucha”, Janka i mnie, poczuliśmy się wyróżnieni.

Jednego z następnych wieczorów, po podzieleniu obozowego prowiantu, odezwał się „Rudy”, naśladując Cześka:

- Jakby co, to moja głowa, żeby na wigilii były ziemniaki.
- Pamiętaj, że musi być co najmniej dwadzieścia cztery i to duże – podkreślił Jasio „Puszczyk”.
- Nie bój nic, główka pracuje – upewnił go tonem zawodowca „Rudy”.

W przeddzień wigilii do izby wtoczył się wracający z pracy Czesiek. Od pasa zaprezentował nam odwłok larwy, następnie rozpiął spodnie i z dumą wywlókł z nich dorodne śledzie, a następnie zdjął z siebie mokre kalesony. Wtedy rozprzestrzenił się fetor, a my w pośpiechu uciekliśmy do sąsiednich izb, pozostawiając w naszej otwarte drzwi.

Gdy wróciliśmy do zimnej izby, zjawił się również „Rudy”. Ten z kolei swoim wyglądem obiecywał poród. Poród nastąpił. Z jego spodni wysypały się na podłogę dorodne ziemniaki.

Właśnie ładowaliśmy do pieca drwa, aby ogrzać wyziębioną izbę, gdy zjawił się w drzwiach Heniek „Smoluch” i przybierając minę bogacza, wyciągnął spod płaszczu nieskazitelnie białe prześcieradło, efekt mozolnego odgrzebywania szafy spod piramidy gruzu pozostałego po kamienicy. Po kilkunastu minutach zjawił się Rysiek i bez słowa położył na stole pięknie opakowany opłatek.

Oczywiście, zaraz po spożyciu śniadania-obiado-kolacji przystąpiliśmy do ukrycia przed Niemcami naszych skarbów, gdyż w czasie naszej nieobecności w izbie dokonywali w niej rewizji i zabierali wszystko co znaleźli (zgodnie z przepisami).

W dzień wigilii wróciliśmy do obozu jak zwykle już po zmroku. Zaraz za bramą skierowano nas, jak zwykle, do rewizyjnej izby,

gdzie zabierano wszystko, co w naszej odzieży było do zabrania (zgodnie z przepisami).

Przy bramie stał komendant Dreher, któremu podwładny meldował, iż brak jest jednego jeńca. Nastąpiła konsternacja, a potem lekkie zamieszanie, z którego skorzystało kilku chłopców i znikło w barakach z pominięciem rewizyjnej izby. Wtedy powstał tumult wśród reszty chłopców oczekujących na rewizję, na co Niemcy zareagowali wrzaskiem. W tym tumulcie i ciasnocie jeden z wachmanów o coś zaczepił nogą i zwał się na ziemię, kilku jeńców na niego. Inni pośpieszyli leżącemu z pomocą i otoczywszy go tak długo przepraszali, aż przemyt znalazł się w barakach.

W następnym akcie tego spektaklu ja wyskoczyłem nagle z baraku wprost pod nogi wartownika obchodowego, spacerującego w pobliżu parkanu. Następnie zwinąłem się w kłębek, chwyciłem w ręce stopę i dramatycznie pojękiwałem. Wartownik mnie zbeształ, a następnie zaczął kogoś wzywać. Ten ktoś uparcie stał nie odwracając się w naszą stronę. Zirytowany wartownik podszedł do tego drągala, chwycił go za kołnierz płaszcza i przyprowadził ku mnie. Potem wskazując na mnie palcem rozkazał:

– Zum Sanitär¹

Ów jeńiec to oczywiście Heniek „Smoluch”.

Niezwłocznie i pośpiesznie poszliśmy pojękując za węgiel najbliższego baraku ze świadomością, że choinka w czasie „przemowy” wachmana poszybowała nad drutami parkanu, prosto w ramiona czatującego na nią Jasia „Puszczyka”.

Za barakiem błyskawicznie wyzdrowiałem, Heniek wierzgnął mnie kolanem w tyłek, a następnie obaj pobiegliśmy do izby, by podziwiać choinkę.

W trzecim akcie zjawił się w bramie Rysiek. Dostrzegł go wartownik i popychając triumfalnie wprowadził przed oblicze komendanta Drehera. Tam, przy pomocy tłumacza, odbyła się taka mniej więcej rozmowa:

¹ Do sanitariusza.

Komendant: – Gdzie byłeś

Rysiek: – W gruzach

Komendant: – Co tam robiłeś

Rysiek: – Spuszczalem spodnie

Komendant: – Jak to?

Rysiek milczy.

Tłumacz: – Durchfal Herr Kommandant²

Komendant – Wy ciągle macie rozwolnienie!

Rysiek chwyta się za brzuch, przebiera nogami, krzywi twarz.

Komendant: – Raus! Raus! Drei Nacht im Bunkier³.

W tym momencie wystąpił nasz obozowy Mąż Zaufania. Ten, liczący sobie około sześćdziesiąt lat życia, uwielbiany przez nas wszystkich sierżant, teraz wystąpił ze stanowczym protestem:

– To nieludzkie! Jeńcy z głodu zjadają różne świństwa i dlatego chorują!

Komendant przerwał ten protest, wskazał Ryskowi drzwi i burknął:

– Ab. Nach Baracke⁴

Gdy Rysiek zjawił się w izbie choinka była już umocowana, a Wacek zawieszał na niej świecidelka. Wprawdzie były one nieco uszkodzone, ale mieniły się pięknie, zwłaszcza, że Marek przywiązał drutem do gałązki ogarek białej świecy.

Natomiast Robert, nazywany przez nas Marysią, wykroił nożem pokaźne litery AK używając do tego tektury wyszukanej w śmietnikach oraz srebrnych pasków rozsiewanych przez alianckie samoloty dla zakłócenia niemieckich urządzeń radarowych.

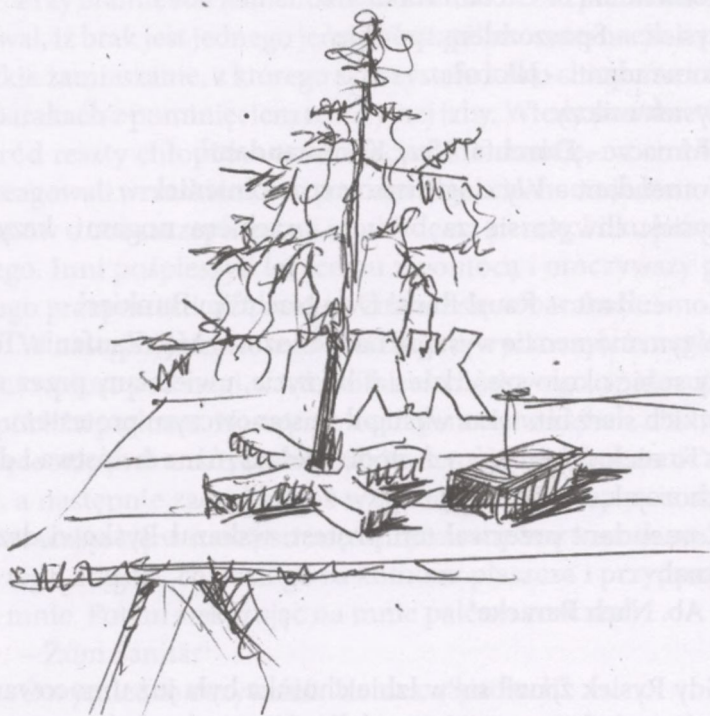
Opłatek ułożyliśmy z pietyzmem na świerkowej gałązce a następnie na stół wjechała miska ze śledziami ozdobionymi

² Rozwolnienie, panie komendancie

³ Precz! Precz! Trzy noce w bunkrze

⁴ Odejść. Do baraku.

cebulą wyszukaną w śmieciach. Obok na rozgrzanym piecu, w garnku perkotały ziemniaki.



Rysiek, początkowo zatrzymany, późno odbierał w kuchni swój prowiant. Wróciwszy oświadczył:

Usiłowałem zaprosić do nas na wigilię Męża Zaufania, ale okazało się, że on już wędruje od izby do izby z życzeniami. Musimy więc kolację zjeść sami, bowiem, gdy Niemcy przyjdą nas liczyć, a zobaczą choinkę i obrus na stole to mogą wywołać awanturę i zabrać wszystko co z takim trudem zdobyliśmy.

Po tym oświadczeniu Rysiek na chwilę zamilkł, a następnie z niezwykłą dla niego powagą wziął do rąk opłatek, chyba z zamiarem wygłoszenia przemowy. Wtedy jednak ubiegł go Jasio Puszczyc, który nieco zażenowany zaczął mówić:

Wiecie, że pochodzę ze wsi niedaleko Puszczy Kampinoskiej. Wiecie też, że tylko ja otrzymałem odpowiedź na wysłany ze stajagu list. Ale nie wiecie, że matka przysłała mi kawałek razowego chleba. Trochę go napocząłem, ale sporo zostawiłem na dzisiejszy wieczór. Jest nieco zmiętoszony, ale przecie to polski chleb.

Skończywszy, wyciągnął z kieszeni trochę nadpieśniały chleb i położył go na stole.

Rysiek, niemal z adoracją, pokroił chleb na dwadzieścia cztery plasterki i powiedział:

– To jest druga strona tego samego opłatka.

Następnie z opłatkiem w rękę głośno odsapnął i usiłował mówić dalej, ale wargi zaczęły mu drgać, zaś oczy zaszyły mgłą, więc odwrócił się ku pryczy i tak trwał. Nam także zwilgotniały oczy.

Na tę scenę wkroczył Mąż Zaufania. Popatrzył na stół, na choinkę, wreszcie na nas i mocnym, prawie krytycznym głosem, zagrział:

– A cóż to za miny?! To tak się wita małego Jezusa?! Czekam aż się w tej izbie wypogodzi!

Rzeczywiście odczekał chwilę, potem postąpił kilka kroków i wysłuchał objaśnień Ryśka o pochodzeniu i znaczeniu leżących na stole smakowitości. Następnie, uniósłszy do góry miskę z opłatkiem i chlebem, podniosłym tonem przemówił:

– W tym opłatku jest Chrystus, a w chlebie – Polska. Oby dzieje nie rozdzieliły tych dwóch symboli, bowiem razem stanowią one gwarancję niepodległości i trwałości naszego narodu.

Potem, przyciszonym głosem zaintonował kolędę, a po chwili cała nasza izbowa rodzina śpiewała:

– Gdy się Chrystus rodzi....

Przebrzmiała kolęda i złożyliśmy sobie świąteczne życzenia. Przemawialiśmy do siebie mniej więcej tak:

– No to daj pyska stary byku. Kiedyś tam chciałem ci skuć mordę, ale przecież ty jesteś fajny chłop. Doczekajmy razem wolności.

– Ty karakanie. Wiem, żeś mi ukradł kartofel. Skoczyłem ci wtedy do oczu, bo byłem nieprzytomnie głodny. Już nie pamiętam. Daj mordy.

Gdy dobiegły końca te „wzniosłe”, ale na pewno szczere wyznania i życzenia, Mąż Zaufania zagadnął:

– Chłopcy, podarujmy Niemcom prezent gwiazdkowy. Chcę abyśmy pełnym głosem odśpiewali jedną zwrotkę kolędy „Cicha noc...” Oni wszyscy znają tę kolędę. Być może, to nieco złagodzi ich postępowanie z nami.

Zaśpiewaliśmy, a spod podłogi uciekły wszystkie myszy. Potem okazało się, że śpiewał z nami cały obóz.

Gdy Mąż Zaufania pożegnał nas, natychmiast uprzątnęliśmy stół. Niebawem weszli wachmani. Gdy nas policzyli, obejrzeni choinkę, a jeden z nich zapytał po niemiecku:

– Co oznaczają litery AK? Przecież powinno być PW, czyli polnische Wermacht (polskie wojsko).

Pytanie Niemca przetłumaczył nam, a następnie odpowiedział na nie po niemiecku Wiesiek. Potem wachmani ruszyli ku drzwiom ze słowami: – Guten Nacht (Dobranoc).

– Dobrej nocy – odpowiedzieliśmy chóralnie.

Choinka została uratowana.

W tej wrogiej nam ziemi dzień Bożego Narodzenia przeznaczony był tylko dla Niemców. A więc my, jak każdego innego dnia, opróżnialiśmy kible na śmieci lub walczyliśmy z gruzami zbombardowanych kamienic. Po powrocie do obozu, zmęczeni, szybko położyliśmy się spać. Zасыpiając, pewien chłopiec zdołał jeszcze powiedzieć do siebie:

– Ciekaw jestem jak dziś wygląda Warszawa?...

Wtedy anioł stróż przeniósł chłopca ponad miastami, polami, rzekami i lasami w miejsce gdzie:

Już pogasły pożary Warszawy
Białym kirem śnieg pokrył jej grób.

Na strunach nagich kominów wiatr grał rapsodię:

CHWAŁA ZWYCIĘŻONYM.

Z katakumb zamordowanego miasta wyłonił się człowiek,

Nie upolowany przez germańską śmierć

Promieniał szczęściem, bowiem znalazł w gruzach

Kromkę spleśniałego chleba.

Człowiek zjadał kromkę i patrzył na gwiazdy

Migające na granatowym niebie

Potem rozrzewnił się

I zakrzyknął doniosłe w przestworza:

Powiedzcie mi niedościgłe gwiazdki

Czy na polskiej umęczonej ziemi

Jarzy się choć jedna betlejemska choinka?

Gwiazdki snadź usłyszały głos człowieka

Bowiem jedna z nich, płąsając po niebie, pisała:

Widzę choinkę na starym kurhanie

Gdzie partyzanckie płonie ognisko

Śnieżnymi płatkami choinka owiana

I obsypana złotą księżycą poświatą

Na choince błyszczą rubiny

Krwi zastygłej na drutach katowni

Na choince mienią się diamenty

Łez toczonych w sowieckich gułagach

Człowiek, czytając, zapatrzył się w gwiazdy,

A wiatr grał mu kolędy przywiane z bezkresów,

Gdzie wtedy biło choćby jedno polskie serce.

Człek melodię w bukiet ułożył

I szepnął ku niebu serdeczną modlitwę:

Podnieś rękę Boże Dziecię! I wskrześ nam Ojczyznę miłą!!!